

Jeremi Bożkowski

ESTYMATOR 

Msza za mordercę



Jeremi Bożkowski

MSZA ZA MORDERCĘ

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-20-3

Copyright (C) Antoni Więcko i Karolina Szafert

Tekst: Czytelnik, Warszawa 1988

Projekt okładki: Olga Bołdok

Jeremi Bożkowski to pseudonim literacki Bożeny Ciecierskiej-Więcko (1935–1986).

Spis osób

1. Witalis Kluskwiejko – redaktor naczelny miesięcznika „Zew Nauki”.
2. Ada Maorys – jego vice, szyja, która głową kręci.
3. Joanna Żeberkowiecka – redaktor techniczny, typ „zalotna przewodnicząca ZMS”.
4. Bunia Węgorz – sekretarka, maszynistka i dział listów w jednej mocno roztrzępanej osobie.
5. Alina Ćwierciakiewiczówna – dział humanistyczny, osoba cyniczna.
6. Maciej Świerzop – obiecujący młody poeta, który przez pomyłkę losu spełnia rolę sekretarza redakcji „Zewu”.
7. Napoleon Gnyś – genialny matematyk, dział nauk ścisłych.
8. Bolo Cynk – młody człowiek o bujnej wyobraźni na etacie gońca.
9. Jan Wirus – redaktor naczelny dwutygodnika „Czynów Stal”.
10. Gloria Przeciek – sekretarz redakcji, wulkan pracowitości.
11. Józio Gwizdek – beztrioski młody człowiek po czterdziestce, samotny wdowiec z dzieckiem, redaktor techniczny.
12. Kazio Gronkowiec – zwany inaczej „Kazio uwodziciel”, żurnalista o wybitnej urodzie.
13. Justyna Palisander – wzór sekretarek, zatrudniona, niestety, tylko w „Czynów Stali”.
14. Felicja Gwizdek – dwunastoletnia córka Józia, ziółko.
15. Maria Kluskwiejko – nieodpowiednia, młoda żona Witalisa.
16. Patrycja Faleńska – piękna nieznajoma.
17. Ksiądz Przeogromny – postać skromna, ale dysponująca wielkimi możliwościami.
18. Porucznik Karbolek – młoda kadra oficerska MO z wyższym wykształceniem.
19. Sierżant Fidybus – stara kadra bez żadnego wykształcenia i bez poczucia obowiązku, ale z nosem.

Uporeczywy terkot budzika docierał do najciemniejszych kątów pokoju. Felicja wsadziła głowę pod poduszkę, zatkała uszy, ale budzik nadal był górą. Terkotanie miało długie.

– Tato! – wrzasnęła wreszcie. – Przecież on dzwoni!

– Zauważyłem – spod okna ledwo dał się słyszeć stłumiony głos. Widocznie ojciec też hołdował strusiej metodzie i usiłował przetrwać z głową pod poduszką – ale chyba kiedyś przestanie?

– Tato! On nie ma przestać. On ma cię obudzić! Dziś nie na mnie dzwoni, tylko na ciebie! Masz łamanie! Nie zasypiaj znowu! Bo cię lunę wodą!

– Nie! Tylko nie to! – wrzasnął Józio i jednym susem znalazł się w łazience, a Felicja, z konewką w ręku, została na środku pokoju. Wkrótce za szklanymi drzwiami dały się słyszeć wesołe pogwizdywania i chlupot wody. Wobec tego dziewczyna wzięła ze stołu cukierek, książkę do czytania i znów weszła pod kołdrę.

– Do szkoły! – krzyknął Józio, wciągając w bieg sweter. – Przecież dziś idziesz rano!

– Coś ci się pomieszało! – odparło z niewinną miną dziecko. – We wtorki i piątki zawsze się chodzi na jedenastą.

Józio nie oponował. Zdawało mu się, co prawda, że ilekroć on ma w drukarni łamanie, jego córka ma mniej lekcji niż zazwyczaj, chodzi na inne godziny, a wraca ze szkoły późnym wieczorem, ale nie miał czasu nad tym się zastanowić. Dotkliwy swąd rozszedł się po całym mieszkaniu. Józio z żyletką rzucił się ratować mleko.

– Wyprowadź psa, nie spóźnij się do szkoły, przynieś klucz! – krzyknął i wybiegł zapomniawszy o śniadaniu. Wciągnął już za drzwiami płaszcz, zgubił pasek i popędził na

postój taksówek, przydeptując sznurowadła. W domu zapanowała atmosfera odprężenia. Z kąta wylał olbrzymi, żółty mastiff, zwany „Pilulką”, i wsadził nos do kubeczka z mlekiem.

– Nie rusz, kretynie! Mordę sparzysz! – wrzasnęła Felicja. – Nie mówiąc już o tym, że dla ciebie to jest nic, a dla mnie śniadanie. – Pies przyznał jej rację, bo odstąpił od mleka, za to legł niczym Rejtan przy drzwiczkach lodówki i zaczął pojękiwać.

– Dobra, dobra, ale mnie tu dopuść! No, nastap się, ty neandertalu! – odepchnęła psa, wyciągnęła z lodówki wszystko, co nie wymagało gotowania, i rozłożyła na podłodze. Pilulka objawiał żywe zainteresowanie.

– Tu są bułki – dla ciebie duża, dla mnie mała. Tu salceson. Wygląda na śmierdzący – będzie dla ciebie. Poczekaj, zrobię ci kanapkę. Tu czekolada. Ty miałeś salceson, to ja wezmę czekoladę. Tu sałata i rzodkiewki – możemy się podzielić. To byłoby tyle. Poczekaj! Co, już zjadłeś? – Przełożyła kajzerkę czekoladą, postawiła obok łóżka kubek z mlekiem, włączyła na cały regulator rockową płytę, nakryła się kołdrą i zaczęła czytać „Psychologię wieku dojrzewania”. Pilulka przez chwilę jeszcze czekał obok lodówki, ale szybko zrozumiał, że śniadanie skończone i jeśli było niewystarczające, to głód należy przespać. Wczołgał się najdelikatniej, jak umiał, w nogi łóżka, ułożył ciasniutko przy ścianie i zaczął pochrapywać.

Lekcje w szkole już się dawno zaczęły, kukulka wykukała wpół do dziesiątej. Felicja z rozkoszą wyciągnęła się na łóżku. Takie dni zdarzały się dwa razy w miesiącu. Normalnie ojciec do dziesiątej siedział w domu i o żadnych porannych wylegiwaniach nie było mowy. Był dziennikarzem i miał – niestety – nie normowany czas pracy. Natomiast te dwa dni łamania były dniami radości i triumfu Felicji. Przed ósmą musiał być w drukarni znajdującej się na drugim końcu miasta. Nie przyzwyczajony do wczesnego wstawania, znosił to fatalnie. Wtedy wszystko można mu było wmówić, na wszystko się zgadzał, do wszystkiego się przyznawał. „A więc – pomyślała Felicja – można by dziś w ogóle nie pójść do szkoły... Można by z psem do Zielonki albo do Powsina, potem na obiad, potem do kina... a potem to już on może wrócić, więc trzeba będzie udawać jakąś chorobę i zażądać zwolnienia w dzienniczku. Wróci zmordowany, trochę pod muchą, jak zwykle z drukarni, i podpisze. Wszystko podpisze. Nawet cyrograf”.

Około jedenastej niskie, jesienne słońce zajrzało w okna, a Pilulka wstał i potężnym ziewnięciem zaznaczył, że warto by się przejść. Wybrali się do drukarni piechotą. Pora była stosowna, droga daleka, ale przyjemna. Zeszli na moment nad Wisłę. Pusto było, tylko wędkarze tkwili na swoich stanowiskach, a potwornie brudny, wysmolony bocian – dla jednych Wojtek, dla innych Maciek – przechadzał się w oczekiwaniu na dary.

– Tych koluchów małych to nie bierze – powiedział jakiś staruszek w uszatce – mądry jest.

– Tych, co na przynętę? – podtrzymała uprzejmie rozmowę Felicja. – Może go kłują?

– Aha! Miałem wczoraj kilka, co mi posnęły, to porzuciłem dziobem, pogrzebałem i nie wziął ani jednego. A przecież dobre były – rozżalił się – ani śmierdzące, ani co! Teraz takie czasy, że nie można wybredzać. Ale weź takiemu wytłumacz!

– A co z nim będzie, jak przyjdzie zima? Dlaczego on nie odleciał?

– On nigdy nie odlatuje – stwierdził wędkarz z dumą. – Na zimę leci do elektrociepłowni. Pod Siekierki. Ty uważaj, bo mu oczy wydziobie!

Istotnie, między psem a bocianem rysował się konflikt. Pilulka na przygiętych łapach obchodził ptaka dookoła, ten zaś obracał się tylko wokół własnej osi i trzymał dziób w pogotowiu.

– Zawsze to samo! – dziewczynka założyła psu smycz i pociągnęła go w stronę ulicy. – Ile razy go spotkasz, myślisz, że to kura. A to jest, proszę ciebie, ptak niejadalny. Chodź na obiad!

Przejechali cztery przystanki tramwajem, oczywiście na gapę, a za tramwajowe pieniądze kupili sobie dwa lizaki na patykach, które Pilulka bardzo lubił, toteż nie omieszkali skosztować swego razem z drewnikiem.

– Śmietnik jesteś! Przedwczoraj zjadłeś pudełko zapalek, wczoraj skarpetkę i zaproszenie na wernisaż, a dziś drewno od lizaka. Masz czym zapalić, coś na podpałkę, a teraz pewno chciałbyś trochę materiału wybuchowego, żeby było śmiesznie?

Pies na słowo „chciałbyś” zamerdał całą tylną połowę swego cielska i znacząco wciągnął w nozdrza luby zapach unoszący się z pobliskiej jadłodajni III kategorii.

– Poczekaj, już niedługo. Zaraz tata na chwilę wyjdzie, pójdziemy sobie do knajpy, pojemy, popijemy i jak nam czasu starczy, to sobie, na przykład, pojedziemy do lasu.

W progu drukarni stwierdziła ze smutkiem, że to nie będzie zaraz. Gloria Przeciek z rozwianym włosom szastała się między dwoma stolikami. Na jednym piętrzyły się zwitki szpalt, na drugim maszynopisy.

– Dobrze, że jesteś! – krzyknęła na widok Felicji. – Pomóż mi rozkładać! Osobno te czarne, osobno fioletowe na grubszym papierze. O, te!

– Znaczy typo i rotograwiurę na osobne kupki? Ale my jesteśmy głodni!

Gloria nie zwróciła uwagi ani na fachowe określenia, jakimi posługiwała się Felicja, ani na to, że głodne dziecko przyszło tu zapewne w innym celu niż segregowanie pomieszanych szpalt.

– Pospiesz się – burknęła tylko, skupiwszy się na maszynopisach, którym pewnie też czegoś brakowało, ale Felicja nie była tego ciekawa. – Jak zdejmą z maszyn, to koniec. „Zew” przyniósł doskład! Wyobrazasz sobie! Dzisiaj! Bezczelna banda! – porwała maszynopisy i znikła za drzwiami do maszyn. Felicja poukładała szpalty, zjadła walającego się między nimi irysa, zobaczyła w przelocie ojca, który wpadł w te same drzwi, za którymi przed chwilą zniknęła Gloria. Zanim wypadł, zdążył jeszcze zawołać wesoło:

– Już jesteś? To wspaniale! Zaraz lecimy na obiad!

Przemknął i więcej się nie pokazał. Zapach drukarskiej farby działał ssąco na żołądek. Pilulka ułożył się w poprzek, przez całą długość korytarzyka, w pozycji na pewno najwygodniejszej dla siebie, ale grożącej katastrofą chłopakowi, który biegł ze składem i omal nie wywinął kozła.

– Ty wiesz, co by było, żebym ja wleciał na tego sukinsyna? Ty wiesz, jakie by było zbieranie? – chłopak stanął z groźną miną nad Felicją i zamierzał oprzeć kasztę na stoliku. Wtedy miałby ręce wolne...

– A kto by potem złożył? Ty? Jak ja tego bydlaka jeszcze raz tu zobaczę...

– To co? Ty wiesz, co by było, jak ty byś go, nawet niechcący, kopnął? Widzisz, jaki on ma rozdział mordy? Przecież on by mógł ci tę nogę odgryźć u samej dupy i nawet by go szczeka nie zabolęła! I ty jeszcze śmiesz z nami rozmawiać!

Chłopak nie śmiał. Wykrzywił się szpetnie, poprawił uchwyt kaszty i też zniknął za huczącymi drzwiami. Ale Felicja pociągnęła psa i wkopała go pod stół. Tak naprawdę to doskonale wiedziała, co by było, gdyby się rozsypał skład.

Z tyłu trzasnęły drzwi. Ktoś ją w przelocie pogłaskał po głowie i wcisnął do ręki smycz. Na smyczy zwił się radośnie biało-czarny łaciaty kundelek.

„Znaczy, jest Wirus! – pomyślała dziewczynka. – Teraz dostaniemy jeść albo długo, długo nic”.

Wszystko wskazywało na to drugie. Psy wesoło baraszkowały pod stołem. Felicja usiłowała utrzymać oba na oddzielnych smyczach, nie splątać, nie podusić i nie dopuścić do wywrócenia stolika. W takiej chwili weszła do korytarzyka pięknie pachnąca i bogato odziana pani. Za nią wsunął się wytworny mały pudełek w kolorowym kubraczku.

– O, jak to miło! Jest dziewczynka do piesków! – zakrzyknęła pani nieco afektowanym kontraltem i wsunęła Felicji smycz do ręki. – Masz, kochanie, zaopiekuj się moją sunią.

Nazywa się Berenika. – po czym ona też zniknęła za drzwiami z napisem „osobom nieupoważnionym wstęp wzbroniony”.

– Dziewczynki to są w burdelu! – wrzasnęła za nią Felicja, ale psa wzięła i nawet pogłaskała. Taki był smutny, nadęty i niezadowolony.

– Tutaj też jest burdel niczego. Tylko dziewczynki coraz starsze. – Przed Felicją stanął redaktor naczelny „Czynów Stali” i ocierał pot z łysiny. – W moim pokoju jest dla tych psów kaszanka. W segregatorze. Pod literą K – kaszanka albo pod S – śmierdząca. Poszukaj, one pewno głodne.

– Ja też jestem głodna. Ojciec nie zostawił pieniędzy.

– Pewno nie miał. Ja też nie mam, ale idź do „Truciciela” i powiedz, żeby ci dał na mój rachunek golonkę. Jedną mam u niego zaległą. I piwo. Też możesz wypić, ale pewno nie lubisz.

– Nie, ale może da się zamienić na zupę dla Pilulki. Relacja cen jest chyba taka sama?

– Diabli wiedzą. Ostatni raz jadłem zupę dwadzieścia parę lat temu. W czterdziestym piątym na froncie. Kiedyś ci opowiem.

Felicja przerażona perspektywą wojennych wspomnień Wirusa, które zresztą znała na pamięć, zebrała smycze w pośpiechu i posterowała do drzwi.

O trzy domy dalej emeryt trzymał garkuchnię z wyszynkiem. Punkt miał dobry, więc się nie wysilał. Podmiejski dworzec, drukarnia i kilka biur zapewniały klientelę. Było jednak przed pierwszym i połowa stolików świeciła pustkami. Pozostałe obsadzone były doborowo. Na środku królował malowniczy obdartus, który właśnie trzymał mowę do śpiących kompanów. Jego soczysty bas zagłuszał ulicę i knajpiane dialogi. Treść była wysoce niecenzuralna, temat banalny głupota rządzących i prowadzonej przez nich polityki – ale dobór przekleństw i inwektyw zdumiewał starannością.

Pod oknem jakaś para czytała kolumny, dławiąc się grochówką. Za nimi odbywała popołudniową sjęstę pierwsza od linotypów. W kąciку pod filarkiem wcinał jajecznicę z wielu, bardzo wielu jaj ksiądz Stanisław Przeogromny. Felicję trochę to spotkanie zdetonowało. Głupio w obliczu znajomego księdza jeść w piątek golonkę. Zwłaszcza jeśli człowiek jest niejako od tego księdza zależny.

Ksiądz Przeogromny był sekretarzem w Biurze Konserwacji Budynków Sakralnych, które mieściło się na bardzo wysokim przedwojennym trzecim piętrze obok redakcji „Czynów Stali”. Oczywiście to jeszcze nie świadczyłoby o zależności, gdyby nie fakt, że winda w tym budynku była jedną z pierwszych wind, jakie wiele lat temu założono w Warszawie. Była to winda-zabytek, winda-cud natury, która dawno już powinna była spocząć w jakimś muzeum techniki, a tymczasem jeździła i rozwoziła po czterech wysokich piętrach mnóstwo ludzi. W dodatku narażona była na bliskie kontakty z przedsiębiorstwem „Dźwigar”, zajmującym się teoretycznie remontami i konserwacją wind, ale przecież nie takich. Stara winda protestowała, jak mogła, przeciw wizytom bezdusznych przedstawicieli firmy, którzy może, gdyby chcieli, umieliby naprawiać i konserwować te szybkobieżne, mknące w ciszy do góry i na dół pudełka o samozamykających się drzwiczkach, ale nie mieli pojęcia o mechanizmie, który ma duszę. Otóż tę duszę pielęgnował ksiądz Przeogromny. Winda psuła się zawsze po wizycie fachowców, a co jakiś czas sama z siebie. Wypadało to częściej, niż uczciwej windzie przystało. Fachowcy przyjeżdżali co trzeci alarm. Potem w ogóle przestali przyjeżdżać. Stwierdzili, że „to taka cholera, co jej bez wódki nie razbieriesz”. Ponieważ wódka nie stanęła, więc oni też poczuli się zwolnieni z obowiązku świadczenia usług. W takiej chwili wkroczył ongiś do akcji ksiądz i wkrótce stał się znany z cudów, jakich dokonywał w najbardziej beznadziejnych przypadkach technicznych.

Felicja siadła przy pierwszym z brzegu stoliczku, choć, jak wiedziała z doświadczenia, na ten stół najczęściej padali wychodzący goście. Ale ksiądz za plecami wydał się mniej groźny. Podeszedł kelner. Nowy był i władczy niesłychanie.

– Golonka raz – zamówiła pewnym głosem dziewczynka. – I jakaś gęsta zupa. Na rachunek Wirusa Jana.

Kelner krytycznie spoglądał pod stół.

– Tu się je. Tu psów wprowadzać nie wolno.

– A pan myśli, że one przyszły popatrzeć? Też będą jadły.

– Bez gadania. Ty się, mała, nie wymądrzaj, tylko wyprowadź te bydlaki.

– To niech pan sam wyprowadzi, proszę bardzo...

Felicja odsunęła się skromnie, odsłaniając doborową parę pod stołem. Łeb Pilulki wielkości półtojej głowy dorosłego człowieka spoczywał na boku rozciągniętego Klopsa, który wyglądał, jakby miał się za chwilę rozszczać i rzucić do nogawek. Pilulka podniósł mordę i ziewnął. Uzbrojenie jego pyska przypominało garnitur zębowy średniego aligatora.

– Zawołam szefa, jak się stąd nie wyniesiesz razem z tą psiarnią – zagroził kelner, cofając się.

– A fe, synu... Pan Jezus powiedział przecież: „Kochajcie bydlątka, bo one pierwsze mnie pokochały”. Wstydzilibyś się!

– Eee... ksiądz tu czego – mruknął kelner i wycofał się definitywnie. Nad stołem Felicji stał ksiądz Przeogromny z talerzem nie dojezionej jajecznicy.

– No, to niech już ksiądz siada, jak ksiądz tu jest. Zamówiłam golonkę. Przepadło. Już się nie nawrocę. A o tych bydlątkach to naprawdę Pan Jezus tak powiedział?

Ksiądz pochylił się nad talerzem i pilnie czegoś w nim szukał.

– Widzisz – zaczął niepewnie – Pan Jezus był bardzo dobrym człowiekiem. A czy dobry człowiek może nie kochać swoich przyjaciół? No, a co do tego, że zwierzęta pierwsze – dodał znacznie pewniejszym tonem – to przecież chyba słyszałaś o Bożym Narodzeniu, jak to się odbywało, że wołek i osiołek...

– Oj, to to wiem, ale o psach tam nie było.

– Oczywiście, trudno zajmować się szczegółami, ale o zwierzętach ogólnie, więc psy też... A ten trzeci to także twój?

– Jaki trzeci? Co za mój? – Felicja z lekka zaniepokojona spojrzała w kierunku, jaki wskazywał widelec księdza Przeogromnego. Niepokój okazał się uzasadniony. Przy drzwiach stało małe, czarne stworzonko w przekrzywionym kubraczku. Z obrzydzeniem otrząsając łapki, podeszło do stolika Felicji. Kędzierzawy włos zwisał w mokrych strąkach, pędzelek na ogonku wyglądał, jakby nim przed chwilą wymalowano pół pokoju.

– Wejdz pod stół, idiotko – syknęła dziewczynka.

Berenika, bo przecież mogła to być tylko ona, spojrzała wyniośle, jeszcze raz otrząsnęła łapy i z miną obrażonej królowej wmaszerowała pod ceratową serwetę.

Golonkę przyniósł sam szef. W drugiej ręce dzierżył okazałą torbę.

– To dla tej sfory – położył ją na stole. – Ale nie tu. Za drzwiami. Ta zupa pewnie też dla nich? Nie dam. Naświnią. Ten wielki strasznie chłapie. Z fafli. A za panienkę kto dzisiaj płaci? Ksiądz?

– To jest golonka Wirusa. Kazał mi ją zjeść. Chyba tu dzisiaj nie przyjdzie. A jak przyjdzie, to nie będzie zakąsał.

– Aaa, „łamanie w kościach”! Tak? Skomplikowany przypadek?

– Dosyć. „Zew” przyniósł doskład. Na te same maszyny. A im szpalty przeciąg rozchrzanił.

– Znaczy, przyjdą dopiero wieczorem. Na wódeczkę! Kiedy była wierszówka?

– Dawno.

– Zawsze jest dawno. Ech! – podrapał się po głowie „Truciciel”. – Nie mam ja z wami łatwego życia. Kości pod stół nie wrzucać. Talerzy do wylizania nie dawać. Smacznego! Kelner pouczony. Nie wiedział.

– Proszę pana! A ciastka na kredyt by pan dał?

– Zobaczę, co mamy.

– Niech pan pozwoli dwa. Najlepsze, jakie macie – wmieszał się ksiądz. – Akurat dziś dostałem wypłatę. Wypada jakoś Panu Bogu podziękować.

Szef trzasnął obcasami i wykonał coś w rodzaju ukłonu. Był emerytowanym wojskowym i zmiana skóry łatwo mu nie przyszła. Zniknął za kotarą, po czym ukazał się z dwiema porcjami tortu „Specjalność zakładu”.

Syci i zadowoleni z życia wyszli z księdzem na ulicę. Pogoda się odmieniła – padał deszcz. Felicja wrogo spojrzała na Berenikę.

– No i teraz muszę iść oddać tego podrzutka! A jeszcze mam te dwa nakarmić. Tu od „Truciciela” kości, tam w redakcji kaszanka... Jeszcze czego! Jak wydra nie pilnuje psa, to niech go potem szuka! Pójdę do redakcji! A ta idiotka chyba woli być z nami, skoro sama przyszła.

Idiotka stała nad kałużą i przestępowała z łapy na łapę. Po jej wypielęgnowanym futerku ściekał deszcz. Ksiądz wziął ją bez słowa pod pachę. Poszamotał się chwilę z mechanizmem i rozpiął ogromny, czarny parasol. Felicja spojrzała na niego z zachwytem.

– Ksiądz to jest zupełnie jak ksiądz Brown! Tylko trzeba by księdzu jeszcze dobrać jakiś melonik i jakiegoś milicjanta do towarzystwa.

– Uchowaj, Boże! – mruknął niezbyt uprzejmie ksiądz Przeogromny.

Pod strugami ulewnego deszczu dobrnęli do gmachu redakcji. Nigdy nie wydawał się taki miły i przytulny jak dziś. W rzeczywistości było to gmaszysko wielkiej brzydoty. Wysokie, wąskie, parokrotnie przebudowywane. Za każdym razem według innej koncepcji. Po ostatniej wojnie z przedwojennej, dużej kamienicy została tylko środkowa część wraz z bramą, która prowadziła donikąd. Kiedyś było tam podwórze-studnia, teraz zabite deskami wejście na sąsiedni plac budowy. Drzwiami obok bramy wychodziło się na obszerną klatkę schodową. Na jej środku wznosił się okratowany gęsto słup, kryjący w swoim wnętrzu anachroniczną windę, z którą miewał konszachty ksiądz Przeogromny.

Parter budynku zajmowała jakaś tajemnicza instytucja. Na drzwiach ukrytych w głębi za windą widniał zwięzły napis: „Magazyny”. Można by więc sądzić, że magazynów było tam dużo, ale drzwi tylko jedne, i najstarsi ludzie nie pamiętali, żeby je kiedykolwiek otwierano. Z czasem zaczęto składać obok nich paczki z makulaturą dla harcerzy, potem jakieś resztki dekoracji, połamane przyrządy gimnastyczne, jednym słowem, śmietnik. Rupiecie spływały głównie z pierwszego piętra, które zajmowała średnia szkoła baletowa pod dyrekcją towarzysza Milusińskiego. Mieściła się tu hala do ćwiczeń, garderoby i klasy. Administracja została wyeksmitowana swego czasu na piętro czwarte, przydzielone wcześniej bibliotece i czytelnicy kurialnej. Było to zarządzenie pochodzące z okresu, kiedy za olbrzymią zasługę dla ustroju i ojczyzny uważano każdą dokuczliwą działalność skierowaną pod adresem Kościoła. Okres minął, sytuacja została. Zakonnice założyły między dyrektorskim gabinetem a własną czytelną mikroskopijną bufecik, ogólnie dostępny, słynący ze świetnej kawy i sałatek. Młódź w trykotach ganiała tam i z powrotem po schodach, psuła windę, wrzeszczała, śpiewała i flirtowała pod okiem pobłażliwie uśmiechniętych siostrzyczek.

Trzecie piętro dzieliły między siebie redakcja „Czynów Stali” i biuro księdza Przeogromnego. Za pokojem biurowym mieścił się jego prywatny pokój, za pokojkiem musiało być coś jeszcze, bo wskazywała na to kubatura, ale dalej nikomu nie udało się sięgnąć okiem, choć niejedni próbowali.

„Zew Nauki” rezydował na piętrze drugim, razem ze spółdzielnią lekarsko-dentystyczną „Zdrowy Korzeń”. Byłoby to właściwie wszystko, gdyby nie fakt, że budowa, sąsiadująca z opisaną kamienicą, dosięgła właśnie drugiego piętra i jakby nieco zwolniła tempa. Pomiędzy redakcją „Zewu” i budowlanymi został przerzucony pomost w sensie duchowym i fizycznym. Otóż redakcja miała wyjście na ulicę Ponurych Ogarów, gdzie usytuowały się same poważne instytucje: Bank Rolny, księgarnia z antykwariatem, biuro projektów, sklep, a właściwie salon

ze sprzętem medycznym. Natomiast na ulicy Anarchistów, do której miała bezpośredni dostęp budowa, znajdowały się: sklep monopolowy, skup butelek, nabiał, fryzjer i ostrzenie noży. Po pół litra, jak również po kefirek na kaca bliżej było po rusztowaniach niż dookoła. Dla wygody przerzucono jeszcze od rusztowań do parapetu kilka desek, dzięki czemu każdy, nie tylko wysportowany młodzieniec, mógł uczynić zadość swoim życzeniom i tą drogą wyjść i wrócić. Gdyby ktoś z budowlanych życzył sobie zainwestować coś w banku lub zamówić plan jednorodzinnego domku w biurze projektowym, droga przez redakcję stałaby dla niego otworem.

Nic dziwnego, że w takich warunkach przerzucenie duchowego pomostu między klasą robotniczą a inteligencją pracującą również nie przedstawiało najmniejszych trudności. Wytworzyły się stosunki wręcz rodzinne, lekko tylko podbarwione wzajemną zawiścią. W dni deszczowe, zimne budowlani koso popatrywali w okna redakcji.

– Kawę sobie parzą cały dzień i forszę za to biorą. Taki umysłowy to zawsze ma życie – podsumowywali i szli pod okap rozgrzać się kolejną butelczyną. Na ten widok redakcyjnych kirusów ogarniała nostalgia.

– Skąd oni na to mają? – jęczał sekretarz redakcji Maciej Świerzop. – Człowiek ledwie składkowe pół litra wystuka, i to nie co dzień, a oni od rana do wieczora! Od rana do wieczora!

W dni słoneczne budowlani opalali się na rusztowaniach, pociągali leniwie piwko i redaktorzy z kolei mieli na co narzekać.

– Takim to dobrze! – intonował Świerzop, a reszta redakcji dzielnie mu sekundowała. – Człowiek zamknięty w tych murach jak w więzieniu. I jeszcze, chce czy nie chce, musi pracować! A żeby tak plunąć na wszystko i pójść sobie między kasztany! – po czym pakował manatki i szedł. Za nim wymykała się Alina, która zawsze musiała pójść na wystawę albo na film. Potem Napoleon, który miał drugą pracę na uniwersytecie, potem Joanna, Bolo i w redakcji zostawała para naczelnych oraz Bunia, która zazwyczaj nie orientowała się w porę, że następuje masowy exodus.

– Popatrzcie – mówili wtedy z zawiścią budowlani – nikogo w tej redakcji nie ma. Wszyscy na plażę poszli. A człowiek tu jak pies na uwięzi te osiem godzin...

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI